

NIE PŁACZ MAMO

Wrzesień na Wołyniu

Nad Wołyniem jaśniało pogodne, błękitne niebo. Pofałdowana kraina urodzajnych pól i bujnych lasów wciąż oddychała ciepłem upalnego lata, które - jakby na przekór kalendarzowej porze - nie chciało ustąpić nadciągającej jesieni. Spokojnie dorastały do drugiego pokosu trawy na zielonych płachtach łąk w rzecznych dolinach Turii, Stochodu, Styru, Horynia i ich niezliczonych dopływów. Chwilowego odpoczynku, po żniwnej gorączce, zaznawali spracowani ludzie z zapadłych wsi, kolonii, osad i chutorów. Odłożywszy kosy i sierpy, nabierali nowych sił do prac jesiennych - zbioru okopowych, wyrwania i moczenia konopi, głębokiej orki zagonów pod zasiew ozimin.

I choć nastał już drugi tydzień września, chociaż i do takich zagubionych w lesistym krajobrazie miejsc, jak nasza osada Łobaczówka, docierały trwożne wieści o rozpętanej przez Hitlera wojnie, nic jeszcze nie zdołało zakłócić wioskowego życia w tym kresowym zaciszu.

Żaden to powód do większych obaw, że gdzieś daleko stąd niemieckie oddziały pancerne wbijają się klinem w pozycje obronne naszych wojsk i że zmuszają je do chwilowych, chyba tylko taktycznych odwrotów. Tak się może zdarzyć, gdy wróg wykorzystuje zaskoczenie i liczebną przewagę. Ale za to gdzie indziej, jak głośzą dochodzące do nas wieści, polska kawaleria już po-

kazuje co potrafi. Podobno z brawurowym impetem najechała Prusy i roznosi Niemców na szablach. Niech no tylko ruszą Francuzi i Anglicy, a Hitler wzięty w dwa ognie rychło oberwie za swoje. Przecież sam marszałek Rydz-Śmigły zapewniał, że nie oddamy ani guzika...

Zresztą lada chwila usłyszymy najświeższe i całkiem pewne wiadomości. A przywiezie nam je tato, bo akurat jest sobotnie popołudnie i zazwyczaj o tej porze w rodzinnym komplecie, czyli nasza mama z siedmiorgiem dzieci - wówczas w wieku od czterech do szesnastu lat - oczekujemy na jego przyjazd z Beresteczka po całotygodniowym wójtowaniu w gminie.

Nie czekaliśmy długo. Służbowa bryczka, powożona przez gminnego furmana Hryćkę, zatrzymała się na drodze przed domem, zostawiając za sobą kłębiasty tuman kurzu. Kiedy wiatr zdmuchnął z drogi pylistą zasłonę, ujrzałem ojca, jak opuszczając swój wójtowski pojazd, otrząpywał zakurzone bryczesy, płaszcz, czapkę. Para zaprzęzonych do bryczki karych koni głośno parskała nozdrzami po przebyciu kłusem trzynastu z górą kilometrów, które dzieliły Beresteczko od naszej wsi.

Jeszcze nie zdążył tato wejść i uchylić bramy otwierającej wjazd na podwórze, gdy dopadli go nasi dwaj sąsiedzi - Pazik i Gawliński. Obaj bardzo byli skorzy do politykowania. Też wojskowi osadnicy, jeden z galicyjskim

rodowodem, drugi Kongresowiak, wciąż darli między sobą koty w różnych politycznych sporach, a głównie o to, które i ile, kolonii w Afryce powinna otrzymać Polska na miarę swych aspiracji i potrzeb, aby wreszcie mogła być prawdziwym mocarstwem. Teraz jednemu i drugiemu, a za niedługą chwilę innym przybyłym sąsiadom, wyrwały się z ust natarczywe pytania:

- Macie, kumie, jakieś wieści ze świata? Gdzie jest linia frontu? Zatrzymali nasi Szwabów, czy dalej się cofają? A co sobie myślą te Francuzi i Angliki? Pyskiem tylko wojują, czy może ruszyli wreszcie na tego bandytę Hitlera? Gadajcie kumie...

Wpatrywałem się w zafrasowaną twarz ojca. Również oczekiwałem jego słów. Ale jakoś niezbyt kwapił się do udzielania sąsiadom odpowiedzi. Zastąpił je oznaczającym niepomyślność kręceniem głową i machnięciem rąk. Wpierw zwrócił się do mnie:

- Przeczytaj, bo ta wiadomość ciebie dotyczy.

Łapczywie chwyciłem do ręki podane mi urzędowe pismo. Na nim gruby nadruk: Liceum Krzemienieckie. Obok data - 7 września 1939 rok. A treść pisma wyrażona tylko jednym zdaniem:

„Komunikuję, że ze względów technicznych początek roku szkolnego w Szkołach Liceum Krzemienieckiego został przesunięty na później i o terminie rozpoczęcia zajęć szkolnych nastąpi oddzielne zawiadomienie”. I na dole podpis: Kurator Liceum Krzemienieckiego - S. Czarnocki.

Nie słyszę, o czym rozprawia ojciec z sąsiadami, co im przekazuje, chociaż

KRESOWE STANICE

byłem też bardzo ciekaw biegu wydarzeń wojennych. Raz, drugi i trzeci czytałem słowa wypisane wyraźnym drukiem na kartce urzędowego pisma. Wreszcie mam wyjaśnienie, dlaczego muszę czekać w domu na rozpoczęcie roku szkolnego. Bo zaistniały względy techniczne! Ani słowa o trwającej wojnie, tylko o względach technicznych. Chyba słusznie i prawidłowo. Wszak wprowadzono w ruch czołgi, samoloty, artylerie, karabiny maszynowe - to najprawdziwsza technika i ona nakazuje przesunąć zajęcia szkolne na później. Może na jeden miesiąc, a już najwyżej na dwa.

Cóż, siła wyższa, na nią rady nie ma. A tak byłem pewien, że po zdanych w lipcu egzaminach do Gimnazjum Spółdzielczego przy Liceum Krzemienieckim i po przyjęciu mnie do internatu będę już tam o tej porze. Całym sobą, niespełna czternastoletni wioskowy chłopak, rwałem się do szkoły średniej w mieście. I to w mieście nie byle jakim.

Krzemieniec, jako stary gród wołyński, bardzo mi imponował na długo jeszcze, nim po raz pierwszy, dwa miesiące temu, zawiózł mnie tam tato na egzaminy z piątkowym świadectwem ukończenia szkoły powszechnej. Nie raz marzyło mi się, jak zresztą i innym uczniom wiejskiej siedmioklasówki, ujrzeć to miasto, które tak pięknie i przejmująco sławił w swych wierszach Juliusz Słowacki, miasto obrońnięte legendą niczym zabytkowy dworek pędami dzikiej winorośli. A kiedy już zobaczyłem Krzemieniec, urzekł mnie swoją romantyką. Minione dzieje, pełne chwalebnych dokonań i dramatycz-

nych epizodów, zdawały się przemawiać z każdej budowli, zabrukowanych ulic i urokliwych zaułków, a także z panującej majestatycznie nad miastem i okolicą góry, noszącej imię Królowej Bony.

Do Krzemieńca mogłem teraz porównać nasze gminne Beresteczko. Wprawdzie i ono zapisało się w historii wielką, zwycięską bitwą stoczoną tutaj ongiś przez króla Jana Kazimierza z Kozakami i Tatarami, ale poza tym nic szczególnego nie wyróżniało tej, monotony żywo wiodącej, miłośnicy - po trosze ukraińskiej, żydowskiej i polskiej. Jedyne chyba widoczne ożywienie w Beresteczku wywoływał doroczny odpust, który na Piotra i Pawła ścigał świątecznie wystrojoną rzeszę mieszkańców okolicznych wiosek i osad polskich, a także liczną gawieź spośród miejscowej dzieciarni. Rojno i gwarno bywało wtedy wokół odpustowych straganów rozkładanych przez wędrownych handlarzy w cieniu murów kościoła parafialnego, budowli, która stanowiła zabytek dawnych czasów.

Przeczytane pismo kuratora Liceum Krzemienieckiego tak rozproszyło moją uwagę, że nie usłyszałem, co tato przekazywał sąsiadom. Spostrzegłem tylko, jak odchodzili jeden za drugim z bardzo markotnymi minami. Gdy niebawem usiedliśmy całą rodziną do spóźnionego obiadu, parokrotnie wyrywały się ojcu te słowa:

- Żle jest, moje dzieci, robi się coraz gorzej.

Właściwie to nie całą rodziną siadaliśmy do obiadu. Ustawiony w niezbyt obszernej kuchni długi stół, na-

kryty ceratowym obrusem, dawał honorne miejsce ojcu, pozwalał na przystawionych ławkach usadowić się naszej dziecięcej siódemce, złożonej z pięciu braci i dwu sióstr. Mama natomiast nie miała zwyczaju siadywać przy stole. Uważała, że rolą gospodyni podczas obiadowania jest nie dokarmianie siebie, lecz obsługiwanie domowników. Więc krążyła między stołem a piecem kuchennym, by donieść garnek z dolewką zupy, sprawiedliwie porozdzielać drugie danie, przygotować i rozlać do kubków coś na popicie, według życzeń. A była to albo kawa zbożowa z przypalonego na płycie kuchennej i zmielonego w młynku jęczmienia z dodatkiem cykorii, albo słodkie lub zsiadłe mleko, albo też maślan-ka, której smakowitości dodawały pływające po wierzchu drobinki świeżutkiego masła, pozostałego po ubitej śmietanie w drewnianej maselnicy. Gdy tak raczyliśmy się podawanym obiadem, pozostająca wciąż na nogach mama wiele innej jeszcze znajdowała dla siebie roboty: dorzucić do pieca polano, żeby ogień nie zgasł, odsunąć z nad paleniska kipiący baniak z ziemniakami dla świń, odnieść ze stołu opróżnione naczynia i ułożyć je w cebrzyku do mycia, osobno zebrać nie zjedzone resztki i podzielić - co kotom, co dla wilczura Reksa i co do pomyj dla świń. Dopiero po tych czynnościach pozwalała sobie mama usiąść na stołeczku przy kuchni, żeby spożyć dary boże.

Poza słowami, że wojna zły dla nas przybiera obrót, tato nie poruszył już tego tematu ani podczas obiadu, ani też później, kiedy byliśmy zajęci obrząd-

KRESOWE STANICE

kami w obejściu gospodarskim, w obo-
rze, stajni i chlewni. Dopiero wieczor-
em naszą uwagę znów zaprzątnęły
wydarzenia wojenne, a to dlatego, że
przywieziony przez tatę po jakiejś re-
peracji i zasilony naładowanym aku-
mulatorem radiowy aparat słuchawko-
wy umożliwił nam odnowienie prze-
rwanego kontaktu ze światem.

Nie był to łatwy kontakt. Trzeba by-
ło cierpliwie manipulować igielką i
kryształkiem w aparacie, żeby trafić na
właściwą falę i usłyszeć głos: „Tu radio
Warszawa i wszystkie rozgłośnie pol-
skie”. A kiedy poszukiwania fali po-
wiodły się wreszcie i ze słuchawek do
uszu dotarły podawane wiadomości,
wówczas powiało w naszym domu
prawdziwą grozą. Skóra cierpła z po-
wodu radiowych alarmów lotniczych. Z
informacji i komunikatów wynikało, że
Niemcy są już pod Warszawą. O ro-
snącej powadze sytuacji świadczyły
ponawiane wezwania mobilizacyjne i
powtarzane dramatycznym głosem
apele do ludności.

Przygnębiająco podziałął na nas
wszystkich, nawet na tych żółtodzio-
bich jeszcze domowników, następny
dzień. Była druga niedziela czasu wo-
jennego, 10 września. Od strony Soka-
ła, z terenów położonych po zachodniej
stronie Bugu, nadciągnęli do nas
pierwsi uciekinierzy. Już wcześniej
chodziły słuchy, że dosyć odległym od
naszej wsi traktem, biegnącym od za-
chodu przez Bug w kierunku Radzie-
chowa, Łopatyna, Brodów i dalej na
wschód do Krzemieńca - przemierzają
nie tylko strzeżone przez wojsko tabo-
ry, ale też luźne grupy uchodźców, po-

utykane ludźmi i pakunkami konne
furmanki.

Teraz mamy okazję oglądać tych
ludzi na własne oczy. Od samego rana,
w ciągu całego niedzielnego dnia, po-
jawiali się na drodze, niektórzy za-
trzymywali się przed naszym domem i
domami sąsiadów. Jedni pieszo, drudzy
na wynajętych podwodach. Z wyglądu
miastowi panowie, pojedynczo lub z
rodzinami. Eleganckie u nich skórzane
walizki, jakich u nikogo we wsi nie
uświadczysz. Widoczna też szykow-
ność miastowego ubioru, choć zaku-
rzony on i pomięty po dniach i nocach
podróży. Na twarzach zmęczenie i śla-
dy ciężkich przeżyć.

Skąd ten raptowny najazd uchodź-
ców? Zapytywani wędrowcy informują,
że wspomniany trakt stał się dla nich
niebezpieczny. W poprzednich dniach
przeżyli parokrotnie ataki niemieckich
samolotów, które upodobały sobie
bombardowanie i ostrzeliwanie z kar-
binów maszynowych wszystkiego, co
rusza się na drodze. Uciekinierzy zba-
czają więc z uczęszczanego traktu, by
dalej na wschód zmierzać bocznymi
drogami. Poniektórym wydaje się tra-
cić sens dalsze uchodzenie przed fron-
tem, ponieważ są święcie przekonani,
że tutaj za Bug wojna nie dotrze.
Chcieliby znaleźć gościnę w wiejskim
zaciszu, dom z wiktem i miejsca do
spania.

Prowadzone rozmowy z przyby-
szami, poczęstunki świadczone głod-
nym i spragnionym wędrowcom, zosta-
ły około południa zakłócone wskutek
zdarzenia dla nas prawie sensacyjnego.
Wpierw coś zawarczało, zaterkotało, a
za chwilę przed naszym domem za-

trzymała się granatowo połyskująca w słońcu najprawdziwsza samochodowa limuzyna. Czegoś podobnego nigdy wcześniej nie widzieliśmy. Żaden samochód z najbliższych położonych miast wojewódzkich - naszego Łucka i sąsiedniego Lwowa - nie miał interesu, by kołać się po wyboistych drogach i zawitać aż tu, do Łobaczówki. I oto pojawił się u nas po raz pierwszy.

Cóż to była za atrakcja dla wioskowej dzieciarni! A także dla подроствókw w moim wieku. Tylko nielicznym chłopcom i dziewczętom z Łobaczówki, a do nich i ja należałem, było już wcześniej dane jeden raz oglądać pojazdy samochodowe. Przytrafiła się ta okazja podczas zorganizowanej rok temu wycieczki szkolnej do Warszawy. Jednak co innego widzieć samochód, wiele samochodów śmigających po ruchliwych ulicach ogromnego, stołecznego miasta, gdzie w zestawieniu i mnóstwem rozmaitych wspaniałości - drapaczem chmur na Placu Napoleona, budowlą Zamku Królewskiego, Teatrem Wielkim, szeregiem pałaców, kościołów, gmachów rządowych i wielopiętrowych kamienic mieszkalnych - takie cuda na czterech kółkach nie mogły robić piorunującego wrażenia. Inaczej, gdy owo cudo ogląda się w zabitej deskami wiosce. Gdy można je obejść naokoło, zobaczyć z bliska każdy zewnętrzny detal, wejrzeć przez szyby do środka, pomacać lakierowaną powłokę, gładzić ręką po wierzchu.

Co prawda, nie tak łatwo przychodziło to dotykanie i głaskanie. Na widok hurmy ciekawskich dzieciaków, właściciel granatowej limuzyny odezwał się głosem przestrogi:

- Weźcie się, malcy, do łapania i macania kur, a od samochodu wara! Tłumaczył jeszcze, że zbyt drogi jest lakier, żeby go plamić brudnymi palcami i, nie daj Boże, porysować nie chcący. Zaraz też wdał się z tatą w rozmowę. Wynikało z niej, że jedzie na resztkach benzyny i wstąpił tutaj, bo nie kto inny, jak tylko wójt, może mu coś poradzić, przyjść z pomocą. Bardzo zmarkotniał przybysz, słysząc tłumaczenia ojca, że nikt w najbliższej okolicy benzyną nie dysponuje. Zrezygowany wszedł do naszego domu i wdzięczny za podane mu jądło, którym mama do woli obdzielała innych uciekinierów, jął opowiadać o sobie i swoich przejsiach.

Był uchodźcą z Katowic. Mienił się dyrektorem jakiejś fabryki czy kopalni. Wydobył z podręcznej teczki i pokazywał odznaczenia przyznane mu za zasługi w walkach o niepodległość Polski i za udział w powstaniach Ślązaków przeciwko niemieckim zaborcom. Mówił i zapewniał, że dobrze zna hitlerowców, a oni jego znają, i że wie, czego może się od nich spodziewać. Są bezzwzględni i okrutni. Dlatego, nie wezwany do wojska z powodu inwalidztwa, umknął przed Niemcami, chroniąc wcześniej żonę i dzieci u krewnych w jakiejś wiosce na Górnym Śląsku.

A co widział i przeżywał po drodze? Jeden koszmar. Słyszymy od przybysza, że to już nie taka wojna, jakie dotychczas bywały. Hitler nie liczy się z nikim i niczym. Ma za nic prawa wojenne, układy międzypaństwowe. Swoim wojskom każe siać śmierć i pożogę. Nie wybiera, kto woj-

skowy, a kto cywil. Lotnikom rozkazuje bombardować domy mieszkalne, szkoły i szpitale, robić jatkę na drogach zatłoczonych uchodźcami. A wszystko po to, aby wywoływać panikę i rozgardiasz, sterroryzować ofiarę napadów. Gorzej uzbrojone nasze wojska nie wytrzymują naporu hitlerowskich dywizji pancernych, cofają się bynajmniej nie z taktycznych względów. Idą w rozsypkę. Sam to widział na własne oczy. Straszne, co się dzieje. Nie będzie ratunku, jeżeli dziś, albo najpóźniej jutro zachodni sojusznicy nie rozpoczną ofensywy. Tylko w nich cała nadzieja...

Podслуchiwałem, co opowiadał uciekinier ze Śląska, i dech mi w piersiach zapierało. Czyżby aż w tak złym położeniu znalazła się dzielniejsza od innych polska armia ze swym naczelnym wodzem i doświadczonymi w bitwach I wojny światowej generałami? A może ten miastowy pan najadł się strachu po drodze i wszystko wyolbrzymia, przesadza? Moje i chyba nie tylko moje wątpliwości miał za chwilę - dziwnym zbiegiem wypadków - rozwiązać epizod, który w naszym domu spowodował dramatyczne napięcie, chociaż był drobiazgiem w porównaniu z tym, co relacjonował uchodzący przed Niemcami Ślązak.

Otóż wysłuchiwanie jego zwierzeń zostało w pewnym momencie przerwane wskutek dolatującego z zewnątrz domu niezwykłego szumu i warkotu, który mieszał się z wrzaskiem zgromadzonej na podwórzu dzieciarni. Ktoś z młodszego rodzeństwa zaczął krzyczeć w niebogłosy, że na drodze chce lądować samolot. Wszyscy wybiegliśmy z

mieszkania, by zobaczyć, co się dzieje. Istotnie, dał się słyszeć bardzo już wyraźny odgłos silnika, a po chwili dostrzeżliśmy manewr srebrzystego samolotu, który zataczał łuk nad polami i znów zbliżał się do wysadzonej czereśniami drogi przez wieś. Gdy na końcu wsi był już prawie nad drogą, nagłym zwrotem wyrównał lot i schodził coraz niżej prosto w stronę naszego domu. Przemknął nad wierzchołkami przydrożnych drzew, pozostawiając w naszych uszach mieszaninę głuchego wycia, warkotu, terkotu i czegoś na podobieństwo uderzeń kamykami o blaszane pokrycie domu. Przeleciał i więcej nie powrócił.

- To był niemiecki myśliwiec zwiadowczy - orzekł Ślązak. - Puścił, drań, serię z karabinu maszynowego, bo chyba znęcił go mój samochód pozostawiony na drodze przed domem.

Poproszeni przez właściciela pojazdu, szybko wpełchnęliśmy jego wehikuł pod rozłożysty klon ocieniający połowę naszego domu, aby ukryty pod konarami nie był już przynętą dla innych powietrznych rozbójników. Nie obeszło się też bez oględzin domowego zadarszenia. Kilka małych otworów na szczycie dachu świadczyło o tym, że pociski przebiły ukosem spadzisty wierzchołek blaszanego pokrycia i najwidoczniej ugrzęzły w ziemi obok domu. Na szczęście nikomu nie stała się krzywda, ale trwożne wrażenie pozostało. I pozostał namacalny dowód na prawdziwość Ślązaka. Rzeczywiście, ta wojna to już nie klasyczne zmaganie się dwóch przeciwstawnych armii na liniach frontu i w okopach, to okrucieństwo napastnika, który ma

czelność karabinowymi seriami mierzyć w chłopski dom, w gromadkę dzieci na podwórku, zajętych oglądaniem przypadkowej limuzyny.

Nic też dziwnego, że w bardzo ponurym nastroju upłynęła nam reszta niedzieli. Pogłębiły ten nastrój chwytane z trudem i w urywanych fragmentach radiowe komunikaty o coraz bardziej niepomysłnym dla nas przebiegu działań wojennych.

Wczesnym rankiem następnego dnia urzędową bryczką odjechał tato do swoich wójtowskich zajęć w gminie. Z wolnego miejsca w bryczce skorzystał Ślęzak, jadąc w nadziei, że gdzieś na bardziej uczęszczanej drodze, łączącej Beresteczko z Horochowem, nadarzy mu się okazja kupna benzyny do unieruchomionego samochodu. Dla nas, pozostałych w domu, zaczął się kolejny roboczy tydzień podobny do każdego innego, bo nic i nigdy - nawet wojna - nie mogła zwolnić chłopskiej rodziny od codziennych gospodarskich obowiązków. Trochę tylko dni kolejnego tygodnia różniły się od poprzednich, mianowicie tym, że dotychczas zdani na własne siły domowników i odwzajemnianą pomoc sąsiedzką przy żniwach, młóccie i wykopkach - teraz mogliśmy korzystać z czynnej pomocy, jakiej gotowi byli udzielić zadowoleni już u nas niektórzy spośród gromady uchodźców.

Nasza mama, jak każda wiejska gospodyni, dźwigała na sobie główny ciężar prowadzenia domu. Stale krzątała się w kuchni, przyrządzała dla nas pożywne śniadania, obiady i kolacje, stawała przy dzieży lub niecce, aby w pocie czoła miesić ciasto do wypieku

wielkich bochnów pszenno-żytniego chleba i różnego rodzaju drożdżowych bułek. Do niej należało trzykrotne w ciągu dnia zadawanie przygotowanej karmy dla świń, dojenie czterech mlecznych krów i doglądanie kurnika. A prócz tego - codzienne małe przepierki i duże pranie w każdym tygodniu. W tej nieustannej harówce wspomagała mamę starsza ode mnie o rok siostra Niuśka, która po zakończonej edukacji w wiejskiej szkole powszechnej całkowicie, z niewymuszoną chęcią, poświęciła się domowemu gospodarstwu. Chodziła na organizowany przez miejscowe koło gospodyń wiejskich kurs szycia, gotowania i pieczenia. Zapamiętała uczyła się haftów. Na ręcznej singerowskiej maszynie potrafiła już szyć proste odzienie, przerabiać i reperować domownikom tę odzież, która najszybciej niszczyła się przy robocie. I w tym była Niuśka dużą wyręką dla mamy.

Z drugiej siostry, Izy, o dwa lata ode mnie młodszej, takiego pożytku być jeszcze nie mogło. Poza obowiązkami uczennicy miała za główne zadanie opiekować się najmłodszym z naszego rodzeństwa, czteroletnim Bogusiem. Zaś najstarszy z naszej siódemki, brat Staszek, wtedy szesnastoletni, był właściwie gościem w domu. Ostatnie klasy szkoły powszechnej zaliczał w Beresteczku, potem miał szczęście zdać egzaminy i zostać przyjętym do lwowskiego Korpusu Kadetów im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, gdzie spędził dwa przedwojenne lata. Zupełnie odwykł od gospodarskich robót, ale teraz brał się znów do rąbania drewna na opał, rżnięcia sieczki na obrok dla

KRESOWE STANICE

koni, siekania buraków pastewnych, które wraz z otrębami, śrutą zbożową i makuchem służyły za paszę dla krów i jałówek. Staszкови dzielnie sekundovali dwaj pozostali bracia, o dobre kilka lat młodszy ode mnie - Zdzych i Mietek, jeszcze całkiem nieopierzone wyrostki.

Moją domeną, jako trzeciego po Staszku i Niuśce, była robota w polu. Za sobą miałem już paroletnią zaprawę do roli gospodarza. Gdzieś do dziesiątego roku życia, w czasie wolnym od zajęć szkolnych, poprzestawałem na lżejszych, pomocniczych robotach w zagrodzie i poza nią. Do takich robót należało: wyprowadzanie i palikowanie letnią porą bydła na pastwisku obsianym w jednym miejscu lucerną, w innym - tymotką z rajgrasem; doprowadzanie krów i koni do poidła przy studni; karmienie zwierząt w miesiącach zimowych suszoną koniczyną i łąkowym sianem przynoszonym ze stodoły; rozścielanie na noc podściółki w oborze, stajni i chlewni; regularne pucowanie i smarowanie dziegiem uprzęży końskiej. Z biegiem czasu dochodziły prace coraz trudniejsze. W dniach zwózki późniejszej byłem układaczem snopów w sąsiedkach stodoły, poganiaczem koni w kieracie, gdy stawaliśmy do młocki, kosiarzem mieszanek pastewnych dowożonych z pola na karmę dla zwierząt, zbieraczem wyorywanych jesienią ziemniaków i wykopywanych buraków, czynnym uczestnikiem wiosennych sianokosów. Roztrząsałem wywożony w pole obornik, przywoziłem wyrąbane w lesie drewno na opał. Rok przed wybuchem wojny, kiedy naszą rodzinę opuścił powołany do czyn-

nej służby wojskowej brat mamy, wujek Józek Sitko, mnie przypadła również robota, którą rezerwowali dla siebie dorośli. Była to podorywka ściernisk, kultywatorowanie zagonów, głęboka orka i bronowanie roli przed siewem.

Nie wiem dlaczego najbardziej pociągało mnie, przecież bardzo męczące, chodzenie za pługiem lub bronami. Być może, jakąś rolę odgrywało zamiłowanie do koni, przywiązanie do naszych dwóch obłaskawionych, poczciwych klaczy o gniadej maści, całkowicie mi posłusznych w każdym zaprzęgu i w jeździe wierzchem, na oklep, bo siodła nie mieliśmy. Trzymając w dłoniach wodze lub lejce, albo ściskając cepigi pługa, odczuwałem wielkie zadowolenie, że oto dwa końskie cielska, ogromne w porównaniu ze mną, chuchrowatym jeszcze chłopakiem, poddają się mojej woli, respektują moją kierowniczą rolę, w mig stosują się do wydawanych poleceń: wio, hetta, wišta, nazad.

Owszem, nachodziły mnie często marzenia o wyrwaniu się w szeroki świat, by zaspokoić ciekawość życia gdzie indziej, dostać się kiedyś do szkoły średniej w mieście, zdobyć wykształcenie rolnicze i powrócić na wieś, zastępować ojca w gospodarstwie, a w przyszłości zostać prawdziwym, samodzielnym gospodarzem. Bo nie wyobrażałem sobie innego, lepszego życia, jak wśród żyjącej przyrody. Lubilem zwierzęta domowe i zwierzyńną dziką. Ciekawiło mnie krocie stworzeń bytujących w glebie i rozmaitych zakamarkach budynków gospodarskich. Odczuwałem jakiś swoisty sen-

tyment do roślin uprawnych jakże wdzięcznych, człowiekowi za troskliwą pielęgnację; do drzew owocowych w sadzie o cudownej mocy budzenia się ze snu zimowego i rozkwitania na wiosnę; do zasianych zbóż, które zadziwiały niespożytą siłą kiełkowania przez zasklepioną nieraz po ulewnym deszczu skorupę ziemi, siłą pozwalającą na to, by przebić się ku słońcu, wyrosnąć bujnie i wydać obfity plon. Po dniu wypełnionym męczącymi zajęciami lubiłem kojący spokój wieczorów na wsi. Niepowtarzalny urok znajdowałem nawet w nasyconych tajemniczością, ciemnych, bezksiężycowych nocach, które odgłosem dalekiego ujadania psów, pohukiwań sowy-puszczyka, szumiącego wiatru w gałęziach drzew wokół domostwa nastrajały do fantazjowania o wszelkich możliwych i niemożliwych zdarzeniach w świecie otaczającym uśpiony, rodzinny dom.

Cokolwiek by nie mówić, najlepiej czułem się jednak w zalanej słońcem przestrzeni pól. I może dlatego właśnie ochoczo, każdego ranka, wyprowadzałem teraz ze stajni swoje gniade i razem ruszaliśmy w pole. Towarzyszył nam rozbrykany źrebak, którego wydała na świat jedna z kłaczy, gdy drugiej wypadło mieć pauzę macierzyńską. Ziemia dopominała się o swoje. Wojna wojną, a ja dzień po dniu, chodząc za pługiem wywracałem miejscami czarnoziemne, a miejscami ciemnobrązowe, gliniaste skiby pod zasiew ozimej pszenicy i żyta. Tato zapowiedział, że niebawem wygospodaruje sobie parę dni wolnych w urzędowaniu, by zasiać co trzeba i jak trzeba. Już nie z płachty,

lecz za pomocą siewnika, którym posługiwaliśmy się dopiero od dwóch lat. Pierwszego siewnika we wsi. Po nas narzędzia tego dorobili się następnii gospodarze w Łobaczówce: wspomniani dwaj sąsiedzi, Gawliński i Pazik, którzy nabyli jeden siewnik do spółki, oraz Ramenda, osadnik rodem gdzieś z podgórskich okolic między Wadowicami a Żywcem, jedyny we wsi kawaler orderu *Virtuti Militari*, przyznanego mu za waleczność w wojnie dwudziestego roku. Nasz tato mógł się pochwalić „tylko” Krzyżem Walecznych, którego jakby uzupełnieniem było kilka innych przyznanych tacie odznaczeń - Krzyż Niepodległości, dwa Krzyże Zasługi, jakieś jeszcze medale i dyplomy.

Nie utkwiliby mi szczególnie mocno w pamięci akurat to jesienne oranie pod zasiew, gdybym nie doświadczył na sobie kolejnego wyczynu niemieckiego lotnika. Krocząc za pługiem w ciepły, słoneczny dzień, bo taka wciąż była wrześnieowa aura, usłyszałem w pewnej chwili dobiegające z daleka głuche, samolotowe warczenie. Ciekawość kazała mi zatrzymać konie i spenetrować wzrokiem bezchmurne niebo. Bez trudu dało się zauważyć kilka połyskujących srebrzyście samolotów, które nadlatywały od zachodu na dość niskim pułapie. Nasze to, czy niemieckie? - zadawałem sobie pytanie, wypatrując rozpoznawczych znaków na skrzydłach. Ale przemknęły zbyt szybko, bym mógł zauważyć jakikolwiek znak. Widzę naraz, że jeden samolot odłącza od klucza, robi nawrót, jeszcze bardziej zniża swój lot i kiedy znalazł się nade mną - usłyszałem pomieszany odgłos warkotu, wycia i terkotania. Za-

KRESOWE STANICE

świstało koło mnie, spłoszone konie szarpnęły pług. Nie opodał bruzdy, na nie zaoranym jeszcze polu, wzbil się w górę suchy, glebowy pył. Równe, jak pod wyciągnięty sznurek, pasemko unoszonego pyłu uformowała nad zagonem seria karabinowych pocisków, które przelatując ze świstem grzęzły w ziemi. Przestraszony, bezwiednie szukałem schronienia, znajdując je w głębokiej bruzdzie.

Cdn.